

Grzegorz Markowski



PLAYBOY nr 8, 2003 rok

TEKST: Lukasz Klinke, Piotr Szygalski

fot. Rafał Latoszek

To rozmowa, do której mamy podejście mocno emocjonalne. Po pierwsze, to nasz pierwszy wywiad na łamach PLAYBOYA. Po drugie, to jedna z najszczerzych i najostrzejszych rozmów w historii pisma. Po trzecie, o czym zawsze mówimy wszem i wobec, każde spotkanie z Grzegorzem to wielka dziennikarska przyjemność. Nie inaczej było i tamtym razem. Spotkaliśmy się w klubie, którego dzisiaj już nie ma, rozmawialiśmy o ludziach, którzy niedawno już odeszli... Poza tym i dla Naczelnego rozmowa ta okazała się bardzo istotna. Dlaczego? Pewnie sam się wytłumaczy...

W tym roku kończysz pięćdziesiąt lat. Masz trzydziestą rocznicę ślubu. Czy przeżywasz w związku z tym jakieś stany kryzysowe?

Nie. Dopadają mnie jeszcze stany euforii, jak dwadzieścia lat temu. Stany ogromnego uniesienia i wielkiej radości. I za to dziękuję Stwórcy. Wynikają one z tego, że przestałem się bać. Muzyki, wywiadów, kontaktu z ludźmi. Przez bardzo długi czas miałem kompleks, że jestem gorszy od innych.

Skąd takie poczucie?

Nie wiem. Pewnie bierze się to z dzieciństwa. Ja do piątego roku życia prawie nic nie mówiłem. Po prostu nie potrafiłem. Jak miałem cztery lata, mama uczyła mnie płynnie powiedzieć, gdy przyjdzie tata z pracy: „Tatuś, dzisiaj skończyłem cztery lata!” Powiedziałem tylko: „tatuś” i koniec. Była to jakaś ułomność psychiczna. Potem się to poprawiło, ale zakłopotanie zostało do niedawna. Czuję się zakłopotany wśród ludzi inteligentnych, obytych i pewnych siebie. Prawdziwy byłem tylko na scenie – prawdziwy, bo żywiłowy. Do dzisiaj mam ochotę uciekać. Jak się zmęczę miastem, pracą to zamykam się na przykład w pokoju hotelowym. Wtedy koledzy wieczorem pukają i krzyczą: „Grzegorz, otwórz!”, a ja milczę, bo nie mam ochoty wyjść.

Czyli byłeś nieśmiały?

Zbyt mocno jak na ten zawód. Można być nieśmiałym bibliotekarzem, nieśmiałym ministrantem, ale być nieśmiałym rockandrollowcem z twarzą mordercy? To jest, kurwa, jakiś teatr lalkowy w ogóle (*śmiech*). Wiele osób przez całe życie udawało mi, że niewiele potrafię. Np. gdy zmieniałem jedno słowo w tekście Olewiczowi, to bardzo się oburzał. Uważał, że jest to rzecz, której nie mogę robić. Spółka Olewicz–Hołdys zamykała się w małym pokoiku. Hołdys dawał muzykę, Bogdan teksty, a ja miałem to tylko wykonać. Gdy na koncercie zaśpiewałem inny dźwięk albo robiłem ozdobnik, który mnie się wydawał potrzebny, to widziałem karcące spojrzenie naszego szefa, czyli Hołdysa. A miał wtedy twarz bin Ladena (*śmiech*). Miałem za zadanie odpierdalać refreny, mało mówić i nie przeszkadzać.

Teraz to się zmieniło. Już jakieś cztery lata temu nie wydawałeś się szczególnie nieśmiały...

Wtedy byłem po alkoholu, a nie piję od ponad pół roku.

Dlaczego?

Bo zauważyłem, że alkohol zaczyna mi zbyt mocno smakować. Wszyscy się zdziwili moją decyzją, ale ja nie chcę się zgubić, a sporo ludzi w moim wieku już się pogubiło. Nie mam ochoty wpierdolić się w taki kanał, żeby trząść się na śmietniku i pić denaturat.

Łatwo przyszło ci odstawienie butelek?

Cholernie trudno. Uprawiam taki zawód, w którym smutek i radość splatają się ze sobą jak warkocz. A przy jednym i drugim leci się po flaszkę albo sięga po flaszkę, bo kiedyś trzeba było iść do sklepu, a teraz jestem na tyle zamożny, że mam w domu.

Czyli flaszki cały czas stoją?

Stoją i czekają na lepsze czasy. Uśmiecham się do nich codziennie. Chodzę wśród nich jak wśród min przeciwnych.

Czujesz poprawę, gdy już nie „drinkujesz”?

Kiedyś, po ciężkiej trasie, nadawałem się do Ciechocinka albo do muzeum. Można mnie było położyć obok mumii egipskiej. Tak samo się czułem i wyglądałem. Teraz moment takiego totalnego zmęczenia następuje dużo później. Wiecie, przychodzi taki wiek, kiedy pobudzić ducha jest ciężiej, bo gdy niesie cię na skrzydełkach młodość – afrodyzjak jest niepotrzebny. Żeby wskoczyć na trampolinę radochy i chęci do życia, musimy się czymś dopalić. Młodzi nie muszą. A było to piękne i nęcące uczucie, jak się patrzyło na kawałek uda kobiety i już była erekcja, a teraz trzeba na to poczekać. Więc albo pastyleczka, albo pół godziny patrzenia na tę nogę. A najlepiej jakby ta noga była cała odkryta, a potem jeszcze żeby bielizna spadła do reszty.

Wspomniałeś o pastyleczce. Czyżbyś spróbował Viagry?

Oczywiście. Latałem po domu z dziesięć godzin i nie wiedziałem, co zrobić (*śmiech*).

Byłeś sam?

Nie byłem sam, ale żona była lekko przerażona (*śmiech*). Zachowywałem się jak dzikie zwierzę wypuszczone, kurwa, po trzydziestu latach postu. Walitem nim o dębowe poręcze, żeby się uspokoił. Dąb zsiniał.

Czyli Grzegorz Markowski nie boi się używek i wynalazków?

W swoim życiu spróbowałem wszystkiego, bo warto spróbować.

Trawa?

Po trawie jest miło, ale kaptcie zakładam dwie godziny, półtora roku idę do toalety, siedzę w niej dwa lata, żony nie widziałem osiem lat, potem oczywiście wyjadam całą lodówkę. Kiedyś świętej pamięci Dzidek Zawadzki, nasz basista, który zmarł w Chicago, dał mi trochę trawy przed koncertem. Mówił: „Cięgnij, ciągnij, do jajec ciągnij”. No to pociągnąłem, zakręciło mi się w głowie, za pięć minut koncert, wychodzę. Zaczyna się „Wyspa, drzewo, zamek”. Oni grają, patrzą na mnie, ja nie śpiewam, patrzę sobie na nich. Zagrali cały numer instrumentalnie. Przerwali koncert, udawali, że się spalił wzmacniacz, jakieś kawy, woda na głowę, dwadzieścia minut przerwy i mogłem coś wykonać. Nie wiem, jak po trawie cokolwiek można robić. Po alkoholu i owszem, np. po pięćdziesiątce koniaku, który powoduje szybkie ukrwienie strun głosowych.

W dzieciństwie, mimo zamknięcia się w sobie, sporo już rozrabiałeś.

To był taki czas, że nie było zabawek. Ojciec kupił zawodowe floretty, maski i rękawice bokserskie. No i co? Napierdalanka przez godzinę.

A zdarzyło ci się ostatnio...

...lutnąć kogoś w śpiewak?

Tak.

Jako dorosły nie pamiętam. Bałem się zawsze zrobić komuś krzywdę, bo mam silne ręce i ramiona. Czasem jednak różni podskakują. Robię się wtedy strasznie drapieżny i muszę wyglądać groźnie, bo sporo z nich się wtedy wycofuje. No, a jeśli nie, to raczej przewracam i przyduszam. Nie biję.

Ale masz złamany nos.

Miałem wtedy dziesięć lat. Wiązałem trampki, kiedy popchnął mnie mój młodszy brat Rafał, dzisiaj ksiądz. Wykonałem salto, a nos miałem do uszu. Dodatkowo – wstrząśnienie mózgu.

Potem uciekleś z domu.

Jak miałem dwanaście lat. Chcieliśmy uciec do Szwecji. Jak miałem czternaście lat, chciałem popełnić samobójstwo. Zezartem dwa termometry. Myślałem, że umrę, ale tylko zepsułem sobie wątrobę i żołądek. To był wiek uniesień. Pisałem wiersze... Świat dla mnie nie miał wtedy sensu. Poza tym topiłem się, spadłem z konia, a kiedyś floret przebił mi maskę i wbił się koło oka. Mogłem zginąć, ale wiecie, brat – ksiądz... Mam dobre układy z Szefem.

Czy zastanawiasz się czasami, jaki będziesz za dwadzieścia lat?

Kurwa, na szczęście nie będę żył.

Masz takie plany?

Poznałem ludzi po siedemdziesiątce w dobrej formie. Hanka Bielicka, Adam Hanuszkiewicz, który pije koniaczek i pali papierosa za papierosem. Sylwetka świetna, kondycja psychofizyczna wzorcowa. Ale Bóg rzadko daje takie prezenty.

Więc kiedy emerytura?

Na razie wystarcza mi siła i zapалу na latanie dwie godziny po scenie. Przy niektórych utworach bardzo się wzruszam. Jeszcze nie zastygłem w uczuciach. Ale nie chcę być karykaturą samego siebie. Pewien etap trzeba zamknąć. Boję się momentu, w którym będzie widoczna nieporadność. Widziałem artystów, którzy są śmieszni.

Na przykład?

Polski koncert Tiny Turner (*w roku 2000 – przyp. aut.*). Ładnie wyglądał tylko w obrazku. Ona nie była w stanie wyśpiewać wielu swoich fantastycznych, drapieżnych dźwięków. Widać było, że ma ze śpiewaniem problem. No i zeszła ze sceny w doskonałym momencie.

Mówisz, że się wzruszasz. Czy tylko, gdy sam śpiewasz?

Nie. W Teatrze na Targówku mówiono mi: „To publiczność ma płakać, a nie ty”. Wzruszyłem się na koncercie Vollenweidera. Mira Kubasińska kiedyś puściła mi Zamfira. Siedziałem w kącie i płakałem. Kurwa, dobrze, że oni pili wódkę, to nie zauważyli. Koncert Purpli w Osace. To samo.

Ostatnio coś cię wzruszyło?

Pacierz młodej, debiutującej piosenkarki – Patrycji Markowskiej.

Podoba ci się to, co robi?

Bozia dała jej wszystkie atrybuty: urodę, słuch, głos, ruch – ten po mamusi, bo ja ruszam się jakby chłop w złotych butach chodził po gównie. Jej ideałem jest Tina Turner. Patrycja chce pójść w tę stronę – grać ostro, choć nie ortodoksyjnie rockowo, a jednocześnie akustycznie i intymnie.

Pomagasz jej jakoś?

Roztaczam nad nią parasol ochronny, studzę jej zapaly. Jej wytwórnia (*Universal Music Polska – przyp. aut.*), zajmując się głównie Michałem Wiśniewskim, innych artystów traktuje nieco po macoszemu, w związku z czym Patrycja wieloma rzeczami musi zajmować się sama. Doradziłem jej ostatnio, żeby nie jechała do Opolu, bo jest to gra interesów, sztuka ma z tym niewiele wspólnego (*Patrycja w tym roku wygrała konkurs premier w Opolu, występując tam nie po raz pierwszy – przyp. aut.*). Łatwo można się tam spalić.

A nie boisz się, że Patrycja zawsze będzie „córka Markowskiego”?

Patrycja ma taki kompleks. Tak jak wszystkie dzieciaki aktorów, muzyków itd. Przeżywa to mocno. Poza tym, gdy miała czternaście, piętnaście lat, jej koleżanki chciały się dostać do naszego domu. I nie wiedziała, czy one przychodzą do niej, czy chcą zobaczyć mnie prywatnie. Patrycja ma tak dużo talentu, że – jestem pewien – odniesie samodzielny sukces.

Jakiego zięcia chciałbyś mieć?

W ciągu dnia Schwarzenegger, wieczorem Juliusz Słowacki, w nocy Anioł Stróż. Może być biedny, musi ją kochać, nie może jej bić. Musi pracować, nawet zarabiając trzysta dwadzieścia złotych miesięcznie. To musi być po prostu prawdziwy facet.

Co to znaczy?

Prawdziwy facet budzi się rano i myśli o żonie. Czyli daje kobiecie, która niczego nie chce, wszystko.

Ale z tego, co słyszeliśmy, to kobiety kupują tobie różne szpargałki.

Generalnie nienawidzę kupować. Kupuję za krótkie spodnie i za duże buty. Jeszcze jak ktoś mnie poprosi w sklepie o autograf, to jestem w stanie kupić sobie kobiecą koszulę.

No właśnie. Na brak popularności nie narzekasz. Czy w związku z tym zdarzają ci się propozycje poniżej pasa? I bynajmniej nie chodzi tu o seks.

Pewnie. Dzwoni jakiś chuj i mówi, że jego żona lubi *Autobiografię*. Podstawi helikopter i zapłaci każde pieniądze, żebyśmy zaśpiewali dla niej, bo oni właśnie piją i żrą kielbasę pod Toruniem w jakimś prywatnym zamku. Chuj w dupę takim propozycjom!

Za mało płacą? Redford w *Niemoralnej propozycji* przespał się z Demi Moore za milion dolarów...

Dobrze, że mu stanął. Nie wiem, jak może stawać, jak się mówi o pieniądzach (*śmiech*). Dla mnie jest to fizjologicznie niemożliwe. Miałem już kilka bardzo ponętnych propozycji reklamowych. I nie wziąłem w nich udziału. Bez przesady z tą sałatą. To co mam, wystarcza mi na bardzo wygodne życie. Mam odłożoną kasę na rok, dwa lata nicnierobienia. Brzydzę się dużych pieniędzy. Całe szczęście nie mam za dużo. Byłbym wtedy zakłopotany.

Chyba nie przepadasz za dzisiejszą sceną muzyczną?

Jeżeli popularna piosenkarka mówi, że gdyby nie śpiewała, to by się zabiła, to się jej coś popierdoliło w głowie. Śpiewać jej nikt nie zabrania. Ona pomyliła sukces ze śpiewaniem. Śpiewać można sobie w domu, w piwnicy, w domu kultury. Czyli gdyby nie odniosła sukcesu, to by się zabiła. Gdy byłem ministrantem w Józefowie, czekałem aż skończy się msza. Kościelny sprzątał kościół, a ja zapierdalałem na górę, żeby pograć sobie na organach *Bielszy odcień bieli* Procol Harum. To była dla mnie czynność fizjologiczna. Muzyka była i jest dla mnie czymś mistycznym i euforycznym. Żaden narkotyk tego nie daje. Dzisiaj dzieciaki zanim zaczną śpiewać, myślą już o kasie ze śpiewania.

W takim razie, jak reagujesz na Michała Wiśniewskiego?

Patrycja powiedziała, że on śpiewa, jakby to był za każdym razem hymn państwowy. Faktycznie – śpiewa do krwi. Facet demonstruje swoje bogactwo, jeździ złotym mercedesem i pal łyko! Natomiast pokazywanie życia w tej willi było totalną pomyłką (*reality show „Jestem jaki jestem” – przyp. aut.*). Po pierwsze poetów znać się nie powinno, a po drugie, jeżeli Wiśniewski mówi do kobiety w ciąży (*do byłej już żony – Mandaryny – przyp. aut.*), że śmierdzą jej nogi, to no comments. Ten program był eskalacją kretyzmu. Tak jak Big Brother. Ciekawostką jest to, że dom, w którym mieszkał Michał Wiśniewski, znam bardzo dobrze. Często tam bywałem u Tadzia Nalepy. Potem Tadzio dom sprzedał i urządził go jakiś Niemiec.

Czy Wiśniewski, według ciebie, jest niespełna rozumu?

Nie współczuję facetowi, który śpi na pieniądzach, realizuje się, odnosi sukces, ale czuję, że on zje własny ogon. Z tej karuzeli trzeba zejść.

A może jest na tyle cwany, że zdaje sobie z tego sprawę?

Jeżeli jest na tyle cwany, to wszystko w porządku. Robi z nas wałów i trzymam za niego kciuki. Wiek XXI jest mocno popierdolony i sama twórczość nie wystarcza. Trzeba działać frontalnie: ciuchy, skandale, kochanek, kochanka... Czasy są takie jak choinka, na której jest za dużo bombek.

Spotkaliście się prywatnie?

Tak. Michał jest bardzo miłym człowiekiem. Uratował nam dupę na finale „Lata z Radiem”. Mieliśmy grać po Ich Troje. Publiczność oszalała i nie skończyłaby klaskać, gdyby Michał jej nie uciszył i nie powiedział, że teraz wyjdą jego przyjaciele, mistrzowie – zespół Perfect. Było to bardzo miłe.

A gdyby ktoś zaproponował tobie udział w programie typu „Jestem, jaki jestem”?

Zdziwiłbym się. Jestem strasznie zwyczajny i byłby to strasznie nudny program. Chyba żeby pojechać jakimiś używkami (*śmiech*). Z drugiej strony, jak widzę córkę Osbourne'a, która przejeżdża palcem po twarzy matki, a ta mówi, że pewnie trzymała go w cipie... (*w reality show „Rodzina Osbourne'ów” – przyp. aut.*) Dobrze, że „Kisiel” i Waldorff tego nie doczekali, bo by umarli zdecydowanie szybciej.

W takim razie musisz trzymać się z daleka od takich programów.

Albo kiedyś walnę z lufary w telewizor.

Ale komisję sejmową oglądasz?

Myślałem, że posiedzą kilka godzin i powiedzą, za co Rywin chciał forszę, ale dociekanie prawdy im uciekło – uśmiechają się i pudrują. Czeka się tylko na Ziobrę i Rokitę, jak na dobry horror. Piękna Begerowa pyta się, ile jest wart Polsat, bo ma zacięcie ekonomiczne, a Lepper mówi, że jak dojdą do władzy, to ona będzie ministrem finansów. Jak ONI dojdą do władzy, to ja stąd wyjadę! Nawet do Afganistanu, bo tu już nie da się żyć! (*Grzegorz Markowski nie wyjechał, a Beger nie została ministrem finansów – przyp. aut.*)

Kilka lat temu zaśpiewałeś *Całkiem inny kraj*. Już wtedy niespecjalnie podobała ci się Polska...

Stan braku zachwytu ma teraz rozmiar jakiejś paranoi. Znam paru idiotów, ale gdybym w zespole miał idiotę, to kim miałbym go zrobić? Rzecznikiem prasowym? Faceta, który nie zbuduje zdania? To jest chore. Człowiek powinien sobie spokojnie roztrząsać gnój widłami. Ja też prowadziłem roboty budowlane. Pan Andrzej Lepper jest stworzony do robienia kielbasy i uprawiania pola. Na pewno nie do polityki. Ja wiem, że Jezus mówi: „Zemstę zostawcie mnie”, ale gdybym mógł, to strzelałbym po kolanach, jak mafia! Tak, żeby tylko usztywnić nogi. Polityków wysłałbym na Marsa, a Łapińskiego (*minister zdrowia w rządzie Millera, który pobił fotoreportera „Newsweeka” – przyp. aut.*) bym sobie wypchał.

A kogo byś sobie nie wypchał?

Prezydent jest facetem z klasą (*Aleksander Kwaśniewski – przyp. aut.*) Ma korzenie, jakie ma, ale nie twierdzi, że do partii zapisał się, żeby rozsądzić ją od środka i robić socjalizm z ludzką twarzą. Kwaśniewski nie kojarzy mi się z tym, z czym kojarzy się komuna – z prymitywizmem, brakiem manier, z nieznamościami języków, z taką chamską rutyną.

A incydent w Charkowie? Goleń, te sprawy?

Mój Boże, jak pije to jest nasz (*śmiech*). Rockandrollowy prezydent. Chwała mu za to. Ja się kiedyś upiłem z księdzem winem mszalnym. Powiedział mi: „Nie sztuką jest trzymać pana Boga wpół, sztuka to padając, łapać go za piętę”. Kiedy człowiek pokaże, że jest normalny, to jest nam jeszcze bliższy. Natomiast granie świętoszka z uśmiechem Macierewicza czy Giertycha to prawdziwa Rodzina Addamsów.

Kto oprócz Kwaśniewskiego budzi twoje uznanie?

Jola Kwaśniewska.

Podoba ci się?

Zajebista kobieta. Rozmawiałem z nią przez chwilę na festiwalu w Opolu. Jest kobietą pełną uroku, bardzo ładną. Po prostu dama.

Chodzisz na wybory?

Chodzę. Żona każe (*śmiech*). Na kogo głosuję? Nie pamiętam, ale Krysia to mądra kobieta, na pewno dobrze mi doradzała.

Zawsze z estymą wyrażasz się o płci pięknej. A jak po latach sprawują się tzw. groupies?

Świetnie, tylko groupies kiedyś były bezinteresowne. Chciały po prostu być jak najbliżej, a najlepiej – jak byłeś w niej. Teraz zaczął się świat biznesu i pieniędzy. Groupies to za chwilę alimenty, i to duże. No więc nam już po prostu nie wolno. Przytulić się i tyle.

Żona nie jest zazdrosna?

Mierzy mnie własną miarką. Krysia była tancerką. Objechała cały świat, razem z orkiestrą i męskim baletem – dwustu mężczyzn w niezłym wieku. Ale czy od razu trzeba konsumować?

Nie trzeba. Tym bardziej jeśli ma się okazały zbiór filmów, jak sam mówisz, „przyrodniczych”...

No tak, pół regału. Już się nie mieszczą. Zacząłem przebierać. Kupuję i jak się nie podobają – oddaję.

Masz ulubiony tytuł?

Generalnie lubię kobiety w łóżku, bez mężczyzn. Toulouse Lautrec twierdził, że dwie kobiety w łóżku to szczyt piękna i erotyzmu. Też tak uważam. Generalnie kobiety robią to z dużo większym wdziękiem

niż faceci, którzy czasem zachowują się jak wieprze. Ostatnio kupiłem film na Dworcu Centralnym. Podchodzę i mówię: „Kolega ma urodziny, a on lubi TAKIE filmy” (*bardzo głośny śmiech*). „Czy mogłaby pani znaleźć taki bez facetów?” „No nie wiem, proszę pana, czy jest... O jest, ostatni!”

Zagrałeś u Andrzeja Kondratiuka w *Córce marnotrawnej*. Co dalej z – tak dobrze zapowiadającą się – karierą filmową?

Nic. Siedząc twarzą w twarz z Igą Cembrzyńską byłem tak strasznie stremowany, że ona zamykała oczy, żebym przestał się denerwować. Film to dla mnie raczej zamknięty temat. Kukiz robi to bardzo swobodnie, tak samo jak Ania Przybylska. Kamera ich lubi. Dla mnie robienie min i udawanie jest nie do przeskoczenia.

Czy brat – ksiądz nie ma pretensji o twoje rockowe wcielenie?

Pojęcie grzechu, które on ma, to prawdziwe pojęcie grzechu. Powiedzieć „kurwa mać”, to może i grzech, ale dla mnie grzech to czynienie komuś krzywdy.

Jak oceniasz zjawisko o nazwie „rock chrześcijański”?

Trochę ich nie lubię. Uważam, że to przechrzty. Może chleb na tamtej scenie jest łatwiejszy? Głoszenie wiary w taki głośny sposób, przytulony do instytucji kościoła, budzi moje wątpliwości. Ludzie modlą się po cichu.

A co ostatnio wpadło ci w ucho?

Raz, Dwa, Trzy. Ostatnio tak śpiewają, że ja pierdolę. Mistrzem świata jest i będzie Marek Grechuta.

Całkiem niedawno w duecie z Myslovitz...

Nie lubię Myslovitz, choć z wokalem dobrze sobie to wymyślili. Tak jak Kazik z urodą. Marcel Marceau mawiał: „Jak masz jakąś wadę, to zrób z niej zaletę”. I oni tak zrobili, ale na Kazika wolałbym nie patrzeć, a Myslovitz nie słuchać. Dlaczego facet śpiewa jak kobieta i jeszcze to eksponuje? Gdyby było ciemno, a ja byłbym pijany, to zacząłbym go podrywać!

Czy zdarzają ci się sytuacje, że jesteś brany za kogoś innego?

Gdy stawiałem samochód na Starówce, to pijacy, którzy opiekują się parkingiem, powiedzieli: „Panie Zbyszku, bardzo proszę”. Chodziło o Hołdysa. Czasami ludzie dziękują mi za tango, co dziwne, bo do Cugowskiego w ogóle nie jestem podobny. Tak samo brzydki, ale chuj tam (*śmiech*). Kiedyś w pociągu babka wzięła mnie za Wodeckiego (*śmiech*).

Jak dzisiaj patrzysz na Hołdysa?

Gdyby nie Hołdys, malowałbym być może metro do tej pory. Albo śpiewałbym w barze mlecznym pod Sztokholmem. Ogromnie mnie zmobilizował. Wszystko, co osiągnąłem, osiągnąłem dzięki niemu. Nigdy o tym nie zapominam. Jestem wysoko dzięki niemu. Żal mi, że tacy utalentowani ludzie bywają tacy miłoścy. Kiedyś miałem bardzo dużo uznania dla Zbyszka. Dla jego pomysłu na ten zespół, dla jego poruszania się w showbiznesie. Uważałem go za człowieka szlachetnego. No i, kurwa, niestety, on szlachetny nie jest! Byliśmy winni ludziom koncert w 2000 roku. Kupili certyfikaty itd. Zadzwoniłem do Hołdysa z propozycjami – zagraj z nami, zagraj bez nas, zapowiedz nas, my zapowiemy ciebie. Chodziło o to, żeby w jakikolwiek sposób Hołdys pojawił się w ciągu tych dwóch godzin. Nie podszedł nawet do telefonu. Czyli zignorował w ten sposób tysiące ludzi. Jest to swego rodzaju tchórzostwo. Ewentualnie zawiść, złość... Poza tym jaki artysta rozwiązując zespół mówi, że ja jestem alkoholiczkiem, że Urny nie potrafi grać, a Szkudelski gra nierówno? Czy ktoś z klasą mógłby powiedzieć to publicznie?

Mocne słowa...

My przyczyniliśmy się ewidentnie do jego sukcesu. Ani przedtem, ani potem niczego nie osiągnął. Podejrzewam, że nie chciałby prowadzić sklepu ze starzyzną muzyczną, gdyby był w stanie napisać dzisiaj *Autobiografię*. Teraz kombinuje jak koń pod górę. Tylko co mu z tego wyszło? Zbyszek odebrał mi wiarę w ludzi. Mam do niego żal, ale życzę mu jak najlepiej. To sfrustrowana kupa mięsa. Człowiek miutki, bardzo utalentowany, wizjoner, bardzo inteligentny, ale przy tym obrzydliwie sprytny, a ja takich ludzi nie lubię.

Dlaczego, jak na rockandrollowca przystało, nie masz tatuaży?

Ktoś ostatnio ładnie napisał: „Zespół Perfect powstał pod koniec lat 70. ubiegłego stulecia” (*śmiech*). Tak więc jestem z zeszłego wieku, jakiś taki, kurwa, archaiczny. Wszystkie ciekawostki, mody – te wszystkie zewnętrzności – bardzo mało mnie interesują. Poza tym wychowywałem się w Józefowie, w środowisku kryminogennym, bo takie było wtedy to miasteczko. Dla mnie zawsze tatuaż równał się pobytowi w więzieniu. Odwiedzałem kolegów w więzieniach – okropne uczucie. I co to za przyjemność mieć coś, co się nie zmywa i żeby się tego pozbyć trzeba wyrwać mięso?

Czy coś cię ostatnio zadziwiło?

W Indiach widziałem słonia z erekcją. Wyglądało to tak, jakby miał pięć nóg (*śmiech*).

Zakończmy mocnym akcentem. Którą z Polek najchętniej obejrzałbyś na naszej rozkładówce?

Moją żonę, Jolę Fajkowską i Grażynkę Torbicką. W zastępstwie Grażynki, której by pewnie nie puścili z telewizji – Hanię Banaszak.